TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
W. Gieysztor, A. Janta, G. Kotkowski, F. R. Łabuński, M. Pruszyński, C. Sandburg, E. Sopoćko, M. Wańkowicz, K. Wierzyński.

Vol. 2. Nr. 1 (53) Nowy Jork, 2 stycznia — New York, 21, N. Y., January 2, 1944 Cena 15 ct.

1944

Rok polski liczy się od września. Od 1-go września 1939, odkąd rozpoczęliśmy walkę — pierwsi w świecie — o wolność, o swobodę narodów i człowieka. Polski kalendarz nie zmieni tej daty aż do dnia zwycięstwa, rozgromu wroga i utrwalenia wszystkich naszych praw do życia.

Dzień ten nie wydaje się bliski. Mimo zwycięstw orężnych, nad Polską zgromadziły się chmury zaciemniające widnokrąg jutra.

Żyjemy pod niewiarogodnym uciskiem możliwości, że kraj nasz, należący do rodziny państw zwycięskich, mógłby wyjść z wojny pomniejszony o połowę. Mógłby po zwycięstwie popaść w niewolę. Po służbie wiernej i bez zdrady nie liczyć na sprawiedliwość. Po tryumfie sprawy, której oddał wszystkie swoje siły i życie miljonów Polaków, przyjąć ten tryumf jako klęskę.

Musimy być świadomi tej sytuacji i nie ukrywać dramatyczności położenia ani przed sobą ani przed obcymi.

Musimy podkreślać zawsze i wszędzie, że Polska nigdy nie podda się przemocy, skądkolwiekby ona pochodziła. I że taki pokój nie byłby pokojem lecz zarodkiem nowej wojny. Naród nasz nie zaprzestał walk o wolność od 123 lat, licząc od ostatniego rozbioru do odzyskania niepodległości po pierwszej wojnie światowej. Trzy razy powstawał w tym czasie z bronią w ręku, burzył się nieustannie i przygotowywał się do wojny, aż wyszedł z niej ze zdobytą wolnością.

Należy też przestrzec świat, że pochopny rachunek spraw polskich robi się bez gospodarza. Kraj nasz daje i dawał takie świadectwa niezłomności, że teraz bardziej niż kiedykolwiek, nie ugnie się przed narzuconą przemocą. Polska walczy o wielką zasadę demokratyczną, że prawo idzie przed siłą nie poto, by prawa jej pierwsze legły zdeptane przez siłę.

Kraj nasz pozostawiony sam sobie wobec tych sprzeczności, nie zamyka na nie oczu lecz odważnie patrzy w rzeczywistość. Dowodem tego jest jego postawa, świadomość tę wyraża cała prasa podziemna.

Stamtąd czerpiemy otuchę i tam szukamy niezbędnej mocy w trudnych chwilach obecnych.

Pismo nasze pracować będzie nad skupieniem wszystkich sił do obrony naszych słusznych praw. Rok 1944 zastać musi wszystkich nas w szeregach obronnych, tak jak było w roku 1920 i w roku 1939, i tak jak będzie zawsze, póki nie minie niebezpieczeństwo Rzeczypospolitej.

ALEKSANDER JANTA

LIST POLEGŁEGO ŻOŁNIERZA

Na samym progu zguby
słowa najwyższej próby
najmocniejszego tchu —

szept, zdławione wołanie,
rąk trzepot, pożegnanie,
jasna czerwień na mchu.

Ziemio, ziemio miłosna,
śpi w tobie przyszła wiosna,
przyszły pokój — mój ból,

nienasycenie bytu,
poznane w chwili świtu,
w wysokim śpiewie kul.

Mocą życia namiętną
śmierci pieczęć jak piętno —
nieodwołalny kres.

Poza ratunkiem, na dnie
kto wspomni, kto odgadnie
znak krwi i ślady łez?

Kto zmierzy głębię lęku
spazm ostatniego jęku,
głuchnący w skroniach gwizd?

Spełnia się ostateczność,
Jaka trudna jest wieczność.
Nienapisany list.

OD REDAKCJI

"Tygodnik Polski" ukazuje się w nowym formacie. Zmianę tę wprowadzamy na życzenie czytelników, którzy domagali się jej w licznych listach nadsyłanych do redakcji w ciągu ubiegłego roku.

Z przyczyn technicznych nie mogliśmy zmienić fomatu poprzednio. Spełniamy życzenie czytelników obecnie, rozpoczynając drugi rok istnienia, i cieszymy się, że format obecny pozwoli przyjaciołom naszego pisma kompletować je i przechowywać łatwiej, niż poprzednio.

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

SYLWESTER W LIBJI

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia pułk artylerji Brygady Karpackiej został zaalarmowany i ruszył w stronę Bardji, w której broniły się jeszcze zaciekle otoczone tam wojska osi. Ósma armja postanowiła na Nowy Rok złożyć na ręce Churchilla dla narodów sprzymierzonych jako podarunek — twierdzę Bardji. W noc sylwestrową nastąpiło decydujące natarcie Południowych Afrykanów i Polaków. Z moich przyjaciół ciężkie rany wtedy odnieśli: rotmistrz Bohomolec, słynny ongiś z przepłynięcia Atlantyku niewielką żaglówką, oraz porucznik Włodzimierz Ledóchowski. Podporucznik Zygmunt Nowakowski, urzędujący na polu bitwy jako obserwator artylerji w wozie pancernym, dzięki zbiegowi okoliczności poprowadził do natarcia czołgi angielskie na pozycje niemieckie i został za to odznaczony na polu bitwy Krzyżem Walecznych.

Inne oddziały Brygady odpoczywając po niedawnej krwawej bitwie gazalskiej nad zatoką Morza Śródziemnego opodal wzgórz gazalskich, pozostawały tam nadal na leżach zimowych. Żołnierze brygady remontowali siebie (to znaczy swe żołądki) oraz sprzęt. Po długich miesiącach oblężenia w Tobruku po wyczerpującym pościgu, bitwach pod Belmamedem i Gazalą, było wreszcie można odpocząć i się odjeść. Korpus Afrykański Rommla, wycofawszy się w popłochu, pozostawił w Gazali wspaniale zaopatrzony przed świętami magazyn żywnościowy oraz setki beczek wina i koniaku. Samochody, ciągniki, działa, karabiny maszynowe porzucone przez Niemców po polach, pozwalały baterjom, kompanjom i plutonom uzupełniać nimi swoje braki. Ktoś odkrył, że w odległej o 80 mil od Gazali pięknej nadmorskiej Dernie pozostały bezpańskie chlewnie włoskie. Wkrótce samochody brygady waliły szosą do Derny i kwik zarzynanych świń napełnił nadmorskie wąwoziki, w których kwaterowała brygada. Rzeźnicy i masarze oraz żołnierze, którzy służyli dawniej w Legji Cudzoziemskiej, wszyscy z zasady znakomici kucharze, spacerowali po obozie z pokrwawionymi nożami w rękach. Monterzy, mechanicy, kierowcy reprezentujący samochody chodzili osmarowani na czarno jak kominiarze. Tak czołowa jednostka Ósmej Armji — Karpacka Brygada spędzała dnie świątecznego wypoczynku. Szosą na zachód przeciągały samochodami oddziały słynnej 4-ej Dywizji Hinduskiej, w pościgu za uchodzącym nieprzyjacielem. Czarne brody, lśniące piękne oczy, i turbany hinduskich wojowników napełniały nas zaufaniem, że zapewnią nam na czas świąt bezpieczeństwo.

Przed samym Nowym Rokiem gruchnęła po szeregach wiadomość, że w najbliższych dniach Brygada wyjedzie na odpoczynek do Egiptu. Radość była niedoopisania. Każdy miał trochę uskładanych pieniędzy, które był rad wydać jaknajprędzej. To też postanowiono tembardziej uroczyście uczcić wilję Nowego Roku.

Kapral Żak z Wickiem wybrali się rano wozem i przyciągnęli z pola porzucone francuskie działko przeciw czołgowe. "Do strzelania do czołgów ono się nie nadaje ale do strzelania na wiwat będzie w sam raz dobre"— stwierdzili chłopcy wyładowując z wozu kilkadziesiąt sztuk amunicji do niego. Ktoś inny uzupełnił zapasy rakiet niemieckich. Tego dnia wiatr ustał, pogoda była ładna, zaprosiliśmy na wieczór kolegów i znajomych z innych baterji. Sierżant-szef przygotował stoły do kolacji na dworze.

Nadchodzący Nowy Rok powitaliśmy wesoło. Przyszedł do nas Szukalski z drugiego bataljonu, ten sam, co na patrolu pod Sidi Resciasc trzy tygodnie temu Włochów za włosy ze schronów wyciągał i niemieckie kasyno oficerskie wina pozbawił. Przyniósł z sobą harmonję i na niej po kolacji koncertował. Nadszedł i drugi kierowca przydzielony wówczas z bataljonu, sierżant Rosiński, ten co z meldunkiem z pola bitwy pod Belhamedem do Tobruku jeździł i baterji kapitana Rożańskiego w nocy drogę do nas pokazał. Niedługo wszyscy byliśmy pod gazem. Pięćdziesięcioletni plutonowy Hrehorowicz wyjął z za pasa pistolet i na wiwat zaczął strzelać w górę. Na ten znak kapral Żak z Wickiem pobiegli do francuskiego działka i rozpoczęli kanonadę. Pociski świetlne strzelały wysoko gdzieś nad morze. Na to tylko czekali działonowi, uzbrojeni w niemieckie rakietnice. Po chwili wielobarwne niemieckie rakiety tryskały w ciemne niebo. — Wkrótce sąsiednie baterje dołączyły się do naszego koncertu huku i świateł. A niezadługo na przestrzeni kilkunastu mil nadmorskiego wybrzeża, gdzie kwaterowała Brygada polska strzelały rakiety w górę, pruły ciemne niebo serje świetlnych pocisków z karabinów maszynowych i zdobycznych, dział przeciwlotniczych. Ciemna noc libijska była świadkiem jakiejś wesołej wojny. Próżno telefony ze sztabu słały groźne rozkazy. Mimo wypicia sporej ilości ponczu, wiedziałem doskonale, co się dzieje. Prosiłem plutonowego Hrehorowicza, by strzelając kierował pistolet swego Mausera raczej w górę. Ale nie przeszkadzałem żołnierzom strzelać ze zdobycznego działka, ani puszczać w górę dziesiątek rakiet. Ostatecznie zdawałem sobie sprawę, że żołnierze ci byli już siódmy miesiąc w pustyni, że mieli za sobą miesiące oblężenia w Tobruku, że dotychczas byli trzymani w twardej dyscyplinie, że zresztą sami byli wspaniałymi, dzielnymi, pełnymi poświęcenia żołnierzami. Teraz nadchodziła chwila wytchnienia. Zasłużyli w pełni na nią. Niech się bawią.

Nazajutrz oddziały Brygady otrzymały rozkazem Generała surową reprymendę.

(Z poezji amerykańskiej)

C. SANDBURG

TRAWA

Złóżcie na stos te ciała z pod Austerlitz i Waterloo,
Zagrzebcie je i dajcie mi pracować.
Jestem trawą. Pokrywam wszystko.

Złóżcie je na stos pod Gettysburgiem,
Złóżcie je na stos pod Ypres i pod Verdun.
Zagrzebcie je i dajcie mi pracować.
Dwa lata, dziesięć lat — a pasażer spyta konduktora:
Co to za miejscowość?
Gdzie jesteśmy teraz?

Jestem trawą.
Dajcie mi pracować.

Tłum. Kazimierz Wierzyński

ERYK SOPOĆKO

SPOTKANIE Z NIEMCAMI

Fragment niniejszy wyszedł z pod pióra ś. p. podporucznika marynarki Eryka Sopoćki, utalentowanego pisarza morskiego, który niedawno poniósł śmierć bohaterską, ginąc podczas zatopienia kontr-torpedowca polskiego "Orkan". Opowiedziane tu zdarzenie było jedną z przygód "Orkana", który zdobył sobie takie zaufanie u Anglików, że powierzono mu eskortę króla Jerzego VI, podczas jego podróży do Afryki.

Samolot zameldował tratwę z pięcioma rozbitkami. Zaczyna się. Za trzy i pół godziny powinniśmy być na miejscu. Zwiększamy szybkość. Wygięte jak łuki ślady wodne znaczą przebytą drogę. Odległość zmniejsza się z każdą minutą.

Godzina 6. Stoję na wachcie. Sprzed dziobu nadleciał samolot. Jeden z naszych. Do tratwy jeszcze z 10 mil. Obserwatorzy meldują płynące na wodzie przedmioty. Podchodzimy bliżej... tak. Nie ulega wątpliwości. Wokół nas pływają trupy.

Kontrtorpedowiec, który podniósł rozbitków nadaje światłem: "Jedyni pozostali przy życiu z załogi niemieckiego okrętu podwodnego — pięciu". Raz jeszcze kurs nasz prowadzi przez cmentarzysko.

W miarę jak zbliżamy się widać na powierzchni oceanu parę palących się świateł. Ciszę pogodnej nocy przerywa nieludzki wrzask, idący od morza. Dowódca zmniejsza szybkość. Na 100 metrów przed dziobem widać połączone ze sobą trzy gumowe tratwy, a do nich przyczepionych ludzi. Tak, to tu zatopiony został nieprzyjacielski okręt podwodny. Ci we wodzie to Niemcy. Do wrzasków "Hilfe" dołącza się "help".

W tem miejscu stwierdzić muszę, że w opowieściach o naszem ponoć okrucieństwie dużo jest przesady. Podano rzutki. Tratwa podciągnęła się. Rzucono siatkę, po której wspinać zaczęli się rozbitkowie. Jeden z nich w mundurze porucznika marynarki, zastępca dowódcy zatopionego okrętu, jak się potem okazało, wynalazł skądś gwizdek i zaczął wydawać rozkazy. Ten moment nie spodobał mi się. Podszedłem bliżej. Niemiec zauważył widocznie moją osobę, bo przerwał swą dotychczasową czynność i nie czekając aż się odezwę powiedział: "Teraz mogę podziękować. Co za szczęśliwy traf, że wyratowani zostaliśmy przez portugalski kontrtorpedowiec. Pan oczywiście rozumie po niemiecku".

— Nie — odpowiedziałem, nie chcąc prowadzić rozmowy w znienawidzonym języku. Ale pan myli się. To polski kontrtorpedowiec — powtórzyłem na wszelki wypadek po niemiecku. Żałuję, że nie widziałem w tej chwili twarzy rozmówcy. Szkoda. Niewątpliwie ciekawie wyglądać musiała. Z tonu wynikało to bez cienia wątpliwości.

— Polski kontrtorpedowiec — z kolei on powtórzył te dwa słowa. Powtórzył, wsadził gwizdek do kieszeni i zmieszał się z już stojącą pod kominkiem grupą. Tej nocy nie widziałem go więcej. Nie ulega kwestji, że nie omieszkał przekazać tej "radosnej" nowiny reszcie swych kompanów. Umilkły rozmowy. Wogóle od tej pory języka niemieckiego głośno mówionego więcej nie słyszałem.

Akcja ratownicza postępowała szybko i sprawnie naprzód. Wciągano na pokład rannych i poparzonych. Słychać był jęki i wrzaski tych, co zdala od tratwy będąc, dopiero teraz dopływali do okrętu. Jeden z nich przypominał mi boję mgłową. Regularnie co dziesięć sekund wydawał tyleż trwający ryk, po którym słyszało się parskanie, prychanie i inne podobne odgłosy.

Księżyc wschodzi. Obrzydliwy smród ropy psuje piękno nocy letniej. Niemcy, jak jeden mąż, zgodnie leżą na pokładzie. Paru sapie zmęczonych pływaniem o wysoką stawkę życia. Kilku wykręca koszulę. Wciągamy jeszcze tratwy i worek słodkiej wody. Te drobiazgi to prezenty od Luftwaffe. Zastanawiam się, czy chodziło jej o napojenie pragnących, czy pocieszenie strapionych. To drugie byłoby raczej bardziej na czasie.

Ironia losu!—krótko powiedziałem. Ratujemy tych, co zniszczyli wszystko co nam drogie. Tych, co z zimną krwią zamordowaliby nas podobnie jak tylu innych.



Na polskim okręcie

MELCHIOR WAŃKOWICZ

DZIEJE RODZINY KORZENIEWSKICH

To było w Ognisku Polskiego Czerwonego Krzyża w Teheranie. Zjadłem kolację i przeglądałem pisma. Goście się rozchodzili i poczynało się robić pusto.

Młoda dziewczyna siedząca przy kasie, skończyła obliczać obrót dzienny i spojrzała parokrotnie na mnie w sposób niezdecydowany. Czułem, że chce coś mi powiedzieć. Pod jakimś pretekstem podszedłem do kasy, by jej to ułatwić. Podniosła na mnie oczy:

— Czy pan mnie nie pamięta?

Nie, nie pamiętałem.

— Skądże zresztą może pan pamiętać — tłomaczyła się nieco speszona — był pan u nas w domu na dwa lata przed wojną. Miałam wówczas piętnaście lat, byłam w szóstej klasie. Dał mi pan wtedy swój autograf; napisał pan w nim, że chciałby, żebyśmy się poznały z Tirliporkiem, z którym jesteśmy w jednym wieku. Jestem Korzeniewska... Hanka Korzeniewska..

Naturalnie, że wówczas przypomniałem sobie.. Korzeniewski! Dzielny działacz na ziemiach zachodnich. Spotykaliśmy się w pracy. Kiedy, w dobie łagodzenia stosunków z Niemcami, zdecydowano Związek Obrony Ziem Zachodnich przemianować na Związek Zachodni, oburzał się na te kompromisowości do niczego, jak mówił, nie prowadzące, był za przedłużeniem zaostrzonego kursu i w konsekwencji stanowisko w Związku Zachodnim opuścił, nie przestając jednak być jego czynnym członkiem. I to wówczas właśnie, przyjechawszy na zaproszenie Związku z odczytem do Katowic, byłem gościem państwa Korzeniewskich.

Znagła mi stanął w oczach ten dom. Wyraziście. Jakieś ciasteczka wyśmienite domowej roboty i te zabawne buźki trzech pensjonarek, przejętych z powodu "ważnego" gościa i pielgrzymujących po autografy. Takie same kozy jak moje. A wdzięczne to, a przejmujące się, a reagujące. I ten najmłodszy dziewięcioletni Jurek, pytający rzeczowo, czy kajak, którym jechałem po Prusach Wschodnich, był opatrzony w motor i ilokonny.

"I miałem wówczas jednego syna, trzy córki..."

Więc kiedy tak oto znagła w Teheranie ogarnęło mnie wspomnienie tego domu, powiedziałem z gotowością, sam nie spostrzegając, że jure caduco przechodzę na "ty", w stosunku do dorosłej panienki:

— No to ja przyjdę do was, Haneczko!... Gdzie mieszkacie?

I nagle przestraszyłem się. Hanka patrzyła na mnie upartemi, brązowemi oczami. Hanka ma ciało mocno związane; kości policzkowe nieco wystające, znamionują wolę.

— Ja sama jestem — powiedziała rzeczowym głosem. Rodzina umarła w Rosji.

To słowo: "rodzina", brzmiało jak odpowiedź na jakimś formularzu, jak pozycja w wykazie.

Ale ja pamiętałem zbyt żywo zapach tych jakichś doskonałych anyżowych ciasteczek i te mysie ogonki i tę czupurność chłopca, dochodzącego prawdy o motorze i uśmiech matki i spokojną niefrasobliwą zachodnią mowę ojca.

Chwyciłem dziewczynę za rękę:

— Jakto, Haneczko? Co się stało? Bo owo "rodzina umarła" wyglądało jakby zdarzyła się jakaś nagła, pochłaniająca katastrofa.

Wówczas nieco zstąpiła ze swojej rzeczowości. Zaczęła opowiadać — zrazu twardo i nieufnie. Czy może bała się — że ta historja jej życia będzie dla słuchacza sensacją, łaskoczącą współczucie w sposób niekosztowny — tu, w tym zasobnym Teheranie? Czy może przebijając się przez świat ze swojem cierpieniem pośród tylu cierpień nauczyła się nie zabierać niem miejsca innym? Któż wie, przez jakie żarna doświadczeń przeszła?

Raz dałem komuś przybyłemu z Rosji spisaną przeze mnie historję 1600 więźniów Polaków, pędzonych przez pięć dni bez jedzenia i wody z więzienia w Starej Wilejce do Borysowa, tak, że ludzie próbowali pić własną urynę z czapek, filtrowaną przez chusteczki. W tym czasie z liczby 1600 straże dobiły 400, zbyt osłabionych, a rozbestwieni dozorcy złapawszy jednego, który rzucił się do ucieczki, kazali innym pędzonym, którym nie pozwalano załatwiać naturalnych potrzeb, oddawać kał na trupa. Znajomy mój odczytał nazwiska skrzętnie zebrane, miejscowości, daty i godziny i rzekł z uwagą:

—Szablonowa historja...

Hanka Korzeniewska opowiedziała mi też — szablonową historję.

Najprzód był — jakże "szablonowy" — wrzesień.

Ojciec odesłał rodzinę do Krakowa a sam pozostał w Katowicach.

W dużym domu Związków Zawodowych, w domu, w którym poroztasowywały się wycieczki harcerskie, znalazła się cała rodzina.

Zapamiętajmy:

Matka — pięćdziesięcioletnia.

Ola — dwudziesto-dwuletnia.

Hanka — siedemnastoletnia; właśnie na wiosnę otrzymała maturę.

Jurek — dwunastoletni.

Antosia — służąca, będąca w rodzinie od urodzenia Jurka.

Najstarsza, Krystyna, była w Poznaniu. Mąż, z którym właśnie się pobrała, poszedł na wojnę i zginął; potem już narodził się pogrobowiec. Jeśli nie żyje obecnie — również wszystko będzie — według szablonu. Ale Hanka nie wie, co dzieje się z Krysią.

Bracia ojca — jeden został jeńcem, dwaj inni — rozstrzelani przez Niemców w Bydgoszczy. Żony ich wzięte do szorowania podłóg.

56-letni ojciec miał dołączyć się niebawem.

Oto dramatis personae tej szablonowej historji.

Matka jeszcze pojechała do Katowic, do ojca. Dzieci same w wielkiem mieście. Jurek oczarowany Sukiennicami. Tyle barwnych straganów! Dzieci sypią groch gołębiom na Placu Marjackim. Hanka — jak zwykle dziewczęta — otacza małego nieznośnego Jurka macierzyńską opieką:

— Chodź na Wawel, na Skałkę... Taki duży chłopak — aż wstyd że nie znasz tego. Może już tego nigdy nie zobaczysz...

Różne głupstwa wygadują dziewczynki, bawiące się w mamusie, strofując lalki albo młodszych braciszków.

Dzieci przepadają na cały dzień w krainie baśni. Poczynając od Smoczej Jamy, w której smok pożerał składane sobie na ofiarę dziewice — poprzez Kurzą Stopkę, którą zamieszkiwała Święta Królowa, składająca miłość w ofierze nawróceniu Litwinów, poprzez sarkofagi królów i panteon narodowy — aż po wieżę Srebrnych Dzwonów, w której leży wskrzesiciel Państwa, zagrożonego teraz.

A kiedy wracają — tłumy ludzi stoją przed plakatami mobilizacyjnemi.

Wieczorem — jak spłoszona kokosz, nie wiedząca kogo najpierw zasłaniać skrzydłami — przyleciała matka z Katowic.

Nazajutrz, w piątek, rozpoczęła się wojna. Hanka włożyła swój mundurek Przysposobienia Wojskowego. Pamiętamy wszyscy tę młodzież, pilnie szukającą każdej posługi. W domu Związków Zawodowych, w którym mieszkali harcerze, znaleźli bombę

zegarową. Z przerażeniem patrzyły dziecinne oczy — że to tak środkiem Polski, pomiędzy nimi, chodzi nieuchwytna — zdrada.

W sobotę wieczorem chlusnęła przez Kraków biedota ze Śląskiego Rybnika. Wielu było tylko w koszulach — tak jak uciekli z pod pierwszego ataku.

Jest drugi dzień wojny. W nocy przyjeżdża ojciec. Matka w schronie obcina sobie włosy. Świat poczyna wirować wkoło dzieci.

W niedzielę rano cały bombardowany Kraków emigruje. Jest w samochodzie znajomych miejsce na dwie osoby — wykorzystuje je matka z małym Jurkiem. Reszta — ojciec, Ola, Hanka, Antosia — idą piechotą.

Jakiż długi ten Kraków. Sukiennice są pozamykane i puste. Na jakiejś łączce na którymś kilometrze odpoczywają. Pszczoły brzęczą po kwiatach. Wtem nadlatuje samolot niemiecki. Tuż obok wysuwa się jak żądło — długa lufa działa przeciwlotniczego— było tak zakamuflowane, że nie widzieli. Ziemia kole ukrytemi żądłami a niebo pełne jest niebezpieczeństw.

Czekają na jakiejś stacyjce, pełnej takich uciekinierów jak oni. W przeciwnym kierunku — pod front — jadą promienne, szczęśliwe, rozśpiewane eszelony naszego wojska. Na każdej stacji sznury ludności, która ciśnie się z żywnością dla żołnierzy.

Trzy dni jadą do Lwowa. Dużo bomb, dużo trupów — ale coraz to coś z nadziei: bądź to bielutki jak z igły pociąg Czerwonego Krzyża, bądź to rozśpiewany, ukwiecony oddział żołnierzy.

Kiedy przybywają do Lwowa — widzą morze ognia. To płoną składy spirytusu. Mieszkają z rodziną w starym klasztorze o grubych murach, który przed trzema wiekami dał schronienie królowi szwedzkiemu. Nieustanne ataki bombowców. Matce się wydaje, że każda nurkująca "Stuka" mierzy specjalnie w jej dzieci. Stale siedzą na beczkach z ogórkami w piwnicy. Chwilami beczki są "wniebowzięte".

Tymczasem na górze nad piwnicą dzieją się inne sprawy. Tam stoi oddział żołnierzy, którym dowodzi jakiś podchorążak. Dwunastego podeszły pancerne dywizje niemieckie pod Lwów, który nie miał załogi, leżąc daleko na tyłach. Nim napłynęła pomoc, miejscowe szczupłe oddziały dwoiły się i troiły. W oddziale stacjonującym w klasztorze był kapral — typowy lwowski batiar. Co noc przed świtaniem wyprawiał się z kilku kolegami i ciężkim karabinem maszynowym pod Niemców. Wracali zawsze pełni animuszu, opowiadając cuda o "Zośce". Tak nazywali swój karabin maszynowy.

Po dziesięciu dniach walk, 22 września bolszewicy podeszli pod Lwów. Miasto już nie mogło się bronić. Wiadomość o kapitulacji przyszła, kiedy ci z "Zośką" byli na zwykłym wypadzie.

Wojna skończyła się dla Lwowa; w rodzinie Korzeniewskich zaszedł ewenement: Ola zaręczyła się z tym dowodzącym podchorążym i wkrótce się pobrali.

*

Dni pod okupacją rosyjską nieraz gdzieindziej były opisywane. Już wkrótce wiedzieli, że perjodyczne branki ludzi, to nie przypadek. Poprostu mają ponownie miejsce wtedy, kiedy powracają po nowe ofiary "więźniarki" — wagony towarowe okratowane, przeznaczone do wywożenia porwanych ludzi.

Dla rodziny Korzeniewskich taka noc przyszła dopiero w lipcu 1940 r. Najprzód przyszli o godzinie drugiej w nocy po mieszkającą w ich mieszkaniu rodzinę wiedeńskich Żydów. Ciężko było patrzeć, jak wyprowadzali te bezbronne bezjęzyczne figury. Reszcie kazali kłaść się spać. Ale nikt nie spał. Obławy kończyły się dopiero o siódmej rano.

Około czwartej nad ranem posłyszeli kroki. Uzbrojeni ludzie kazali im się zabrać w ciągu piętnastu minut. Spieszącemi rękami miotali do rozwartych waliz co się trafi. Pytali enkawudzistów, czy brać ciepłe rzeczy, czy brać żywność. Odpowiedź była stereotypowa:

— Wszystko otrzymacie na miejscu.

Kiedy ich wieźli, było jasno. Przechodnie zatrzymywali się i żegnali ich znakiem krzyża. Nie było między nimi ojca, który był w Lublanach ani Oli, która z poślubionym podchorążakiem mieszkała na Persenkówce. Pisali kartki i rzucali na jezdnię. Wszystkie co do jednej doszły i na Persenkówkę i do Dublan.

Jurek, dwunastoletni Jurek, kiedy ojca nie było i matka znajdowała się w śmiertelnej trwodze — począł szybko przeobrażać się w mężczyznę. Pakował rzeczy, nosił, w wagonie towarowym, w którym już było 38 osób, walczył o miejsce.

Przez szczeliny zamkniętego wagonu widać peron i co na nim się dzieje. Najprzód przybiegła Ola z mężem i z jego rodzicami. Skrzyknęli ich pod wagon. Potem nadbiegł, powiadomiony w Dublanach ojciec. I ojciec i Ola z mężem chcą dzielić los wywożonych ale straż nie puszcza. O tem decyduje N. K. W. D. w mieście.

Pod wieczór — wszyscy całą rodziną znaleźli się w wagonie. Teściowie Oli zdążyli przywieźć dwa męskie ubrania, aby było co sprzedać w Rosji, otrzymali od jakiejś zakonnicy gruby ciepły wełniany szal i przynieśli nieco jedzenia. Robione to było w pośpiechu, bo lada chwila przecież pociąg mógł ruszyć. Ale pociąg ruszył dopiero po dwuch dobach oczekiwania, w niedzielę rano.

Przez szpary patrzyli na uciekającą ziemię polską. Kiedy mijali granicę, była noc ale ktoś rozeznał. Śpiewali "Jeszcze Polska". Po tej demonstracji skurczone w kątach postacie kobiece odmawiały "Pod Twoją obronę".

Jechali dziesięć dni, mimo lipcowego upału raz na kilka dni otrzymywali nieco wody. W ciągu dziesięciu dni cztery razy na stacjach karmiono ich jałową kaszą. Za każdym razem nocą, załatwiali potrzeby naturalne do dziury wybitej w podłodze. Najgorzej było z niemowlętami, dla których nie było mleka ani wody. Pieluchy rozpościerano na plecach i tak starano się suszyć.

Dziesiątego dnia wywagonowano 380 osób na stacji Afanasiewskij Razjezd, Świerdłowskoj Obłasti, Aczyckiego Rejonu.

Rodzina Korzeniewskich wraz z dwustu innemi osobami była wysłana na miejsce pracy do miejscowości odległej o 16 kilometrów. Szczęściem był księżyc. Szli, uginając się pod ciężarem wleczonych rzeczy. Teren był mocno górzysty i wszędzie lśniły kałuże. W powietrzu poprostu widniała kasza komarów. Ci, którzy mieli obie ręce zajęte, byli bezbronni. Ale ostatecznie nie było sposobu się obronić. Kiedy wstał świt — pochód widm katorżniczych okazał się pochodem pokrwawionych rozpuchłych masek. Okrutny karnawał.

Zalokowano ich w dwu barakach, nie mających prycz ani podłóg. Wyległy takie masy pluskiew, że było czerwono. Jurek pytał, co to za żuki.

Koło dziewiątej nastąpił obchód władz. Szli — w zbutwiałych szynelach o ziemistych apatycznych twarzach. Zatrzymali się przy baraku:

— Wsiem dowolny? (Czyście zadowoleni ze wszystkiego?)

Antocha — Poznanianka gruba i bardzo wymowna, poczęła trajkotać jak karabin maszynowy — że takie coś to ona pierwszy raz w życiu widzi.

Apatyczne bawole spojrzenia:

— Niczewo, priwykni etie! (Głupstwo, przyzwyczaicie się...)

Straszna beznadziejność ogarnęła wszystkich. Jakby stali przed szarą wysoką posępną i niemą ścianą.

(Dalszy ciąg nastąpi)

WŁADYSŁAW GIEYSZTOR

NA PRERJACH W "NIEBORACZCE"

Jeszcze wczoraj pasły się nieprzeliczone stada bizonów i hulał legendarny Buffalo Bill na bezkresnych równinach po drugiej stronie Mississippi, w dzisiejszych stanach Iowa, Nebraska, Kansas, aż po Colorado i Wyoming na zachodzie i po Dakotę na północy. Przetaczały się przez bezludny kraj wysokie kryte wozy pionierów, udających się na daleki bogaty Zachód, jeszcze przedtem francuscy "coureurs des bois" płynęli rzeką Mississippi aż do Zatoki Meksykańskiej ale nikt nie próbował osiąść na prerjach nad Mississippi. Ten kraj, tysiąc mil długi i szeroki, był kiedyś własnością królów francuskich. Potem któryś z Ludwików sprzedał go Hiszpanom. Sztandar gwiaździsty zatryumfował tu dopiero w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia — a krótko potem przyszły zmiany: wybito właśnie ostatnie bizony i przyszli pierwsi koloniści. Zaraz też popłynęła wielka fala ludzka na żyzne ziemie równinne — dzisiaj słynny amerykański "corn belt" — pas kukurydziany, żywiący całe Stany Zjednoczone.

Wówczas to, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, przyszli tu także Polacy. Przyszli w dużych ilościach, ze Śląska, z Poznańskiego, z Pomorza, z Kaszub, z Prus Wschodnich. Dopiero później doszli do nich Małopolanie.

Poza Polakami szli masowo Niemcy, Szwedzi, Irlandczycy, Czesi. Rządy niemiecki, szwedzki, angielski wysłały przedtem fachowców agronomów, którzy badali ziemie i wybierali dla swoich najlepsze: w Iowa, wzdłuż brzegów rzek Mississippi i Missouri.

Polacy nie mieli wówczas własnego rządu, który zaopiekowałby się nimi a rządy zaborcze i w takich wypadkach robiły różnicę pomiędzy swoimi i nieswoimi.

Natomiast na Polaków czekali w portach agenci kompanij kolonizacyjnych, które kupowały wielkie połacie ziemi na perjach i parcelowały je między kolonistów. Komisowe a więc i agresywność agentów — były tem większe, im gorsze ziemie mieli do sprzedania. Polaków zawieziono na najgorsze — do Nebraski. Tu osiedli i tu siedzą do dziś — często już w trzeciem lub czwartem pokoleniu. Po polsku przywiązali się do ziemi, pobudowali skromne drewniane kościółki, poprzezywali okolice z polska: — Poznań, Kraków, Tarnów, Chojnice, Boleszyn. Zresztą nawet ziemie tu nie najgorsze, rodzą nieźle — o ile tylko Bóg ześle dosyć deszczów. Tylko, że ostatni raz porządne deszcze spadły w roku 1931. O — wtedy zbiory udały się! Ale przez następne dwanaście lat susze co roku niszczyły wszystko: pszenicę, owiec, jęczmień. Jeszcze jako tako wschodzi kukurydza przy tej suszy. Od pewnego czasu mówi się o wielkich pracach melioracyjnych, o sztucznem nawodnieniu Nebraski. Ale nic nie robi się w tym kierunku. Natomiast stan Nebraska szczyci się tem, że jest jedynym stanem w Ameryce, nie posiadającym długów.

Polacy jednak trwają; biedują, przezwali swoją Nebraskę "Nieboraczką" ale trwają. Obok siedzą i także trwają — Czesi. W zgodzie żyją tu oba bratnie narody. Czesi jednak pierwsi zrozumieli nierentowność przedsięwzięcia. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat wielu młodych Czechów wyemigrowało z farm do miast: do Omaha, do Lincoln, dalej do Chicago. Farmerzy czescy zatroszczyi się o studja dla swoich dzieci, poszli do handlu, wzbogacili się. W farmach polskich gospodarze po dawnemu bronią się przed utratą rąk roboczych i zatrzymują dzieci w domu. Polskie farmy w Nebraska nie produkują inteligencji dla miast.

Wspaniałe transkontynentalne szosy, łączące Atlantyk z Pacyfikiem: "U. S. N. 6" i „U. S. No. 30", przechodzą przez Nebraskę w prostych rzutach. Na przestrzeni tysiąca mil nic nie urozmaica widoku — ani wzgórza, ani lasy. Nie zostało tu dziś także nic z romantyzmu dawnych preryj. Zamiast "buffalo grass" rośnie tu dziś kukurydza. Bezkresne pola kukurydzy biegną aż po horyzont. Do późnej jesieni stoi prosto i równo las pożółkłych kłosów — i tylko czasem zaszeleści na wietrze zeschłemi liśćmi. Krajobraz zmienia się na zachodzie Nebraski przy granicy Wyoming i w pobliżu dakotańskich "bad-lands". Pojawiają się piaszczyste nieurodzajne pagórki: "sand hills", odnajduje się "buffalo grass": pokłębione krzaki trawy, które na jesieni wiatr porywa i nosi po prerji. Tu już niema rolniczych farm, są natomiast hodowlane ranche: owce, bezrogie bydło, dalej na zachód konie. Zaczyna się spotykać konnych pastuchów — cowboy'ów.

Polacy mieszkają "w kukurydzy", w dwóch zwartych grupach: jedna o 100 mil na zachód od Omaha, druga w okolicy Grand Island. Jest tu w Nebraska ze trzydzieści polskich osiedli. Gdzie tylko jest więcej Polaków w gromadzie — tam zachowali polskość lepiej, niż gdziekolwiek w Ameryce. Zachowali przedewszystkiem język. Przybysza z Polski Polacy w Nebraska ujmą za serce bardziej niż inni. Tu nawet dzieci mówią pomiędzy sobą po polsku, pomimo, że i rodzice ich i nawet dziadkowie urodzeni byli w Ameryce. Lud tutaj mówi przytem piękną polską gwarą, która już dawno zaginęła u nas w kraju, zaś tu przechowała się w nieskalanej autentycznej formie. Widocznie kukurydza ma właściwości konserwacyjne.

Kukurydza jednak ma raczej ujemny wpływ na umysły ludzkie. Beznadziejna monotonja pustyni kukurydzianej, wąskie pole dla inicjatywy i pomysłowości — to stanowczo nie są warunki, sprzyjające jakiejkolwiek "prosperity". Polacy w Nebraska zachowali polskość bardziej, niż inne osiedla polskie ale to są sukcesy raczej natury sentymentalnej. Po blisko osiemdziesięciu latach orki i biedy nie dorobili się niczego: są jakby zatrzymani w rozwoju. Taka sama zresztą jest cała ludność tego smutnego kraju. Nebraska jest jednym z najmłodszych stanów w Związku ale bodaj najbardziej "zamerykanizowana" — w złem znaczeniu tego słowa, w znaczeniu mechanizacji, ubezbarwnienia życia. Ośrodek miejski tego olbrzymiego kraju, Omaha, miasto prawie tak duże, jak Łódź — jest takie same jak farma. W soboty sklepy zamykają się tu w południe, w niedziele i kościoły i szynki są puste: wszystko śpi. Przez tydzień pracuje, w niedzielę je i śpi. Innych potrzeb tu niema; w wielkiem mieście wychodzi tylko jedno pismo codzienne; są zaledwie 3 czy 4 kina; w radio niema muzyki a tylko pogadanki o kukurydzy czy o hodowli bydła. A nawet gdy jakiś Jackson opowiada w radio "funny story", to napewno o tem, jak to kura chodziła tyłem albo jak pijany farmer zabłądził w kukurydzy. Mieszkańcy 'Nieboraczki" — „kukurydzą karmieni", jak powiedziałby Wiech — zostali daleko w tyle za resztą Ameryki.

"Corn Belt" żywi całą Amerykę, bijące się wojska, Rosję Sowiecką. A jednocześnie ten pas zgęszczonej nudy oddzielił skutecznie dwa amerykańskie tętniące życiem światy: — 'zgniły" Wschód i wciąż jeszcze egzotyczny Zachód.

Z ARCYDZIEŁ MALARSTWA POLSKIEGO



Fragment obrazu Jana Matejki "Konstytucja 3-go Maja 1791 r."

WOJCIECH ŚWIĘTOSŁAWSKI

Nasz skarb — inżynierowie polscy

Różne przyczyny złożyły się na to, że ani społeczeństwo polskie przed wojną ani Polonia amerykańska nie zdawały sobie sprawy, jak wysoce wykwalifikowani są nasi inżynierowie, mechanicy, chemicy, architekci, kolejarze i wszyscy, których zwykliśmy nazywać wykształconymi technikami. Dopiero wypadki wojenne i przerzucenie garstki naszych inżynierów poza Atlantyk lub przez Kanał na wyspy Brytyjskie było powodem, że niejeden zadał sobie pytanie, jak też sobie radzą nasi inżynierowie we fabrykach, laboratorjach, w różnego rodzaju instytutach i instytucjach, w których wymagane są wysokie kwalifikacje od pracujących tam techników i inżynierów.

Wojna i zarządzenia władz wojskowych spowodowały, że kraj opuściło około tysiąca inżynierów i techników polskich. Większość miała za sobą ciężką i trudną szkołę w jednej z dwóch naszych Politechnik: we Lwowie i w Warszawie. Większość przeszła następnie znakomite przeszkolenie techniczne w państwowych wytwórniach uzbrojenia, fabrykach prochu, węgla do masek gazowych itp. Część tych inżynierów pracowała w państwowych fabrykach nawozów azotowych, w instytucie teletechnicznym, w wojskowym instytucie przeciwgazowym, w instytucie aerodynamicznym, w chemicznym instytucie badawczym i t. d. Nieznaczny odsetek stanowią cukrownicy, gorzelnicy lub też specjaliści w zakresie przędzalnictwa, tkactwa lub farbiarstwa.

Inżynierowie ci i technicy rozrzuceni są dziś dość nierównomiernie i w sposób przypadkowy po olbrzymiej przestrzeni Kanady, Stanów Zjednoczonych oraz na wyspach Brytyjskich. Stosunkowo mniejsza grupa znajduje się w Ameryce Południowej, wreszcie dość znaczna liczba naszych inżynierów została we Francji i ci znajdują się w sytuacji niezmiernie ciężkiej. Nieliczni pracują w Turcji, często na stanowiskach dość wybitnych.

Społeczeństwo polskie powinno sobie zdawać sprawę, że inżynierowie polscy pozostający na emigracji są bezcennym materiałem ludzkim, który zaważy poważnie na tempie odbudowy Polski.

Inżynierowie z emigracji przywiozą ze sobą nowe doświadczenie, nowe podejście do rozwiązywania zagadnień technicznych a często i gospodarczych. Wielu z nich będzie miało zadzierzgnięte stosunki z przemysłem zagranicznym, co może okazać się nader pożytecznem. Wreszcie wszyscy przyjadą ze znajomością języka angielskiego, co pomocne im będzie w dalszej ich pracy.

Aby zrozumieć, w jaki sposób Polska w okresie od 1919 do 1939 mogła poczynić tak wielkie postępy na bardzo wielu odcinkach techniki i to w tempie niezmiernie szybkiem, trzeba sięgnąć czasów o wiele wcześniejszych. Historja taka kiedyś napisana być powinna.

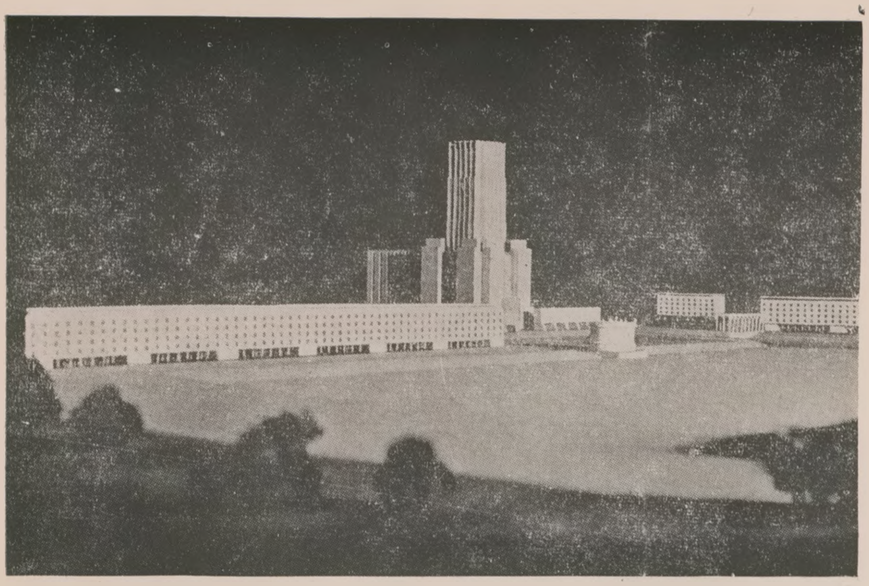
Przed r. 1914 polskie siły techniczne były niezwykle rozproszone. Wielkim błędem byłoby jednak przypuszczać, że sił tych było niewiele. Być może było ich mało na terenie samej Polski przed Jej odrodzeniem, jednakże mieliśmy wielu techników, inżynierów i wynalazców daleko poza granicami ziem polskich. Z powodu ucisku politycznego i idącego za nim ucisku ekonomicznego i gospodarcze-

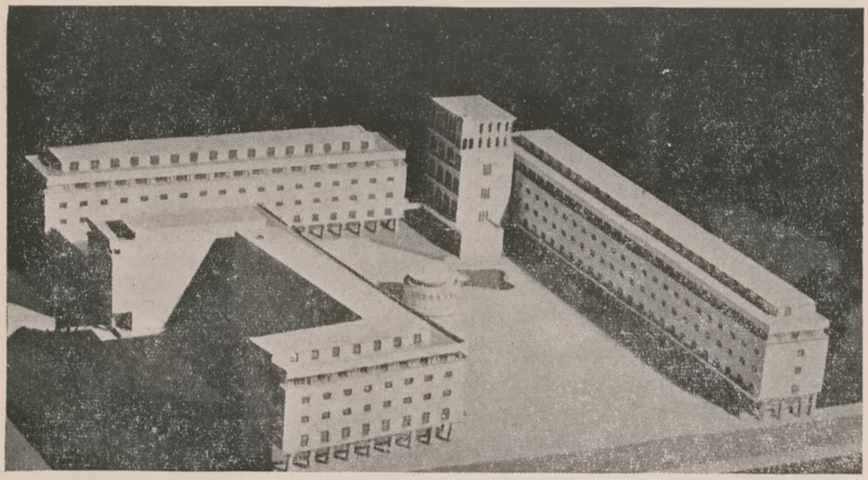
WARSZAWA, JAKĄ ZASTANIEMY...





WARSZAWA, JAKĄ ODBUDUJEMY...





(z projektów B. Pniewskiego)

go wybitne siły techniczne nie mogły znaleźć zatrudnienia w kraju. Stąd powstało ich rozproszenie w trzech zaborach oraz w innych krajach europejskich i poza-europejskich. Najwięcej techników rozrzuconych było po bezmiernym obszarze Rosji Europejskiej i Azjatyckiej.

Rosja zawdzięcza wiele polskim inżynierom w okresie od r. 1880 do r. 1917. Liczne rzesze inżynierów, hutników, metalurgów i górników pracowało na południu Rosji. Dość wspomnieć o wybitnej roli, jaką odegrał w tym czasie znakomity administrator i inżynier Jasiukowicz. Skupił on dookoła siebie conajmniej siedemdziesięciu polskich inżynierów, mechaników i metalurgów. Stworzył wielkie ognisko fachowego kształcenia inżynierów, najwyżej wykwalifikowanych do prowadzenia wytwórni mechanicznych i hutniczych. To też po pewnym czasie zajęli oni wybitne stanowiska a było ich tak wiele, że nie jest przesadą fakt, że niektóre sekcje na zjazdach inżynierskich w Petersburgu lub innych miastach rosyjskich posługiwały się w czasie obrad językiem polskim, gdyż w sekcji nie było inżynierów innej narodowości.

Dodać należy, że Politechnika Lwowska, której stulecie istnienia obchodzić będziemy w roku przyszłym, wykształciła licznych inżynierów pochodzących z ówczesnego zaboru rosyjskiego. Inżynierowie ci zasilali w znacznej mierze personel techniczny zarówno na ziemiach polskich, jak też w Rosji.

Niemniej ważną rolę odegrali w Polsce, jak też w Rosji, liczni specjaliści w zakresie farbiarstwa, tkactwa i przędzalnictwa. Najczęściej byli to wychowankowie uniwersytetów i politechnik szwajcarskich, niemieckich, rzadziej francuskich. Pracowali oni w kręgu przemysłowym łódzkim, w Moskwie, Iwano-Wozniesieńsku oraz w okręgu przemysłowym moskiewskim i niżnie-nowgorodzkim.

Wyjazd uczącej się młodzieży zagranicę przyczyniał się do tego, że wielu z nich pozostawało zagranicą i niejeden z nich dochodził po latach do katedry. Najwięcej profesorów Polaków było w tym czasie na gościnnej ziemi szwajcarskiej, gdzie dziś również otrzymują dyplomy inżynierskie nasi żołnierze-studenci, internowani w r. 1940.

Zjawisko obejmowania katedr w Szwajcarji było tak częste, że nawpół żartem nawpół serjo mówiono w Szwajcarji o dziedzicznych polskich katedrach.

Tak było w dziedzinie chemji i technologji chemicznej. Nazwisko Kostaneckiego i Nenckiego było na ustach każdego Polaka i Szwajcara w okresie, kiedy uczeni ci rozwijali najbardziej ożywioną działalność. Mieliśmy w Szwajcarji słynnych profesorów medycyny (Laskowski), fizyki (J. Wierusz-Kowalski). Wreszcie na terenie Szwajcarji rozwijali swą działalność: najwybitniejszy polski elektrotechnik i chemik, późniejszy Prezydent Rzeczypospolitej, prof. Ignacy Mościcki oraz najwybitniejszy profesor i inżynier z zakresu urządzeń wodnych, również Prezydent Rzeczypospolitej, Gabrjel Narutowicz.

Mimo niezwykle ciężkie warunki w kraju naszym, podzielonym na trzy zabory, nauka i technika rozwijały się o tyle, o ile na to pozwalały krępujące przepisy rządów zaborczych. Przepisy te wydawano i zmieniano w miarę zmiany polityki rządów, zawsze jednak z myślą uniemożliwiania rozwoju nowych gałęzi przemysłu polskiego, niekiedy w celu zabicia przemysłu już istniejącego. Dość wspomnieć o przeniesieniu na południe Rosji wraz z personelem robotniczym i technicznym jednej z większych polskich fabryk mechanicznych. Utrzymanie tej fabryki na terenie Kongresówki okazało się niemożliwe ze względu na prohibicyjne taryfy stosowane przez rząd rosyjski w latach 1900-1914.

Ciężka walka o byt wytworzyła z inżyniera polskiego typ fachowca, który potrafił przebijać się i pokonywać największe przeszkody. To też w chwili odrodzenia Polski rozporządzaliśmy sporą liczbą doskonałych inżynierów, konstruktorów i administratorów przedsiębiorstw przemysłowych.

Odbudowująca się Polska potrafiła element inżynierski wyzyskać i dzieła swej odbudowy dokonać w rekordowo szybkiem tempie.

FELIKS RODERYK ŁABUŃSKI

KONCERT POLSKI
W CARNEGIE HALL

Dzień 9 grudnia należeć będzie do pamiętnych w kronikach rozwoju muzyki polskiej w Stanach Zjednoczonych, gdyż tego dnia program koncertu Philharmonic-Symphony Society of New York poświęcony został po raz pierwszy wyłącznie muzyce polskiej. To doniosłe zdarzenie powstać mogło oczywiście tylko dzięki temu, że dyrektorem muzycznym i naczelnym dyrygentem tej orkiestry jest Artur Rodziński. Zawdzięczamy więc jemu, oraz Polish Information Center, które przyczyniło się do propagandy tego koncertu, świetną manifestację muzyki polskiej, z okazji 25-letniej rocznicy uzyskania Niepodległości Polski.

Program zawierał: "Step" Noskowskiego (wydrukowany w programach jako Zygmunt von Noskowski!) i "Symphonie Concertante" Szymanowskiego, które były wykonane już poprzednio na Festiwalu Muzyki Polskiej na World's Fair w 1939 r., [illegible]cert f-moll Szopena, oraz pierwsze wykonanie w Nowym Yorku Symfonii d-moll, Nr. 5, Tansmana.

Znaczenie Noskowskiego dla muzyki polskiej jako świetnego pedagoga (do uczniów jego należeli: Karłowicz, Różycki, Fitelberg, Szymanowski) i organizatora życia muzycznego Warszawy na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, znacznie przewyższa jego walory kompozytorskie. Wśród spuścizny twórczej po nim pozostały w repertuarze tylko dwa utwory: "Morskie Oko" op. 19 i „Step" op. 66. Oba utwory są poematami symfonicznymi o opisowej treści i świadczą o doskonałej kulturze i wiedzy muzycznej kompozytora lecz nie wykazują ani głębszej inwencji ani też większej fantazji twórczej.

Pełne akordy w stylu organowym pierwszego tematu, mającym odtwa-[illegible]ć niewzruszony spokój stepu ukraińskiego, każą raczej myśleć o modlitwie i kościele. Tematowi zaś kontrastującemu brakuje prawdziwej buńczuczności i rozmachu jazdy kozackiej. Całość, choć zbyt po akademicku ujęta, jest dobrze zbudowana pod względem formalnym i trafnie zinstrumentowana. Pod batutą Rodzińskiego utwór brzmiał doskonale i wypadł okazale.

O wykonaniu 'Symphonie Concertante" Szymanowskiego pisałem już w mojem sprawozdaniu z wykonania tego utworu przez Philadelphia Orchestra, pod batutą Eugène Ormandy w zeszłym roku. Artur Rubinstein tylko spotęgował wrażenie, które wtedy odniosłem: artysta jest niezrównanym wykonawcą tego wspaniałego dzieła, przez Szymanowskiego mu zadedykowanego. Jest prawdziwą tragedją, że kompozytor nigdy nie słyszał tego utworu w wykonaniu Rubinsteina. Trudno wyobrazić lepsze wykonanie. Zwłaszcza należy podkreślić niesłychaną precyzję i bujność rytmiczną w trzeciej części, która spowodu olbrzymiej masy dźwięku orkiestrowego nastręcza wielkie trudści dla pianisty. Zespolenie orkiestry z solistą nie pozostawiało nic do życzenia i genjusz Szymanowskiego zabłysł w całej pełni i krasie.

Jak wiadomo, symfonja różni się od suity i innych wieloczęściowych form symfonicznych przedewszystkiem tem, że jej pierwsza i ostatnia część zawierają najbardziej doniosłą treść a pod względem formy są najwięcej rozbudowane. Części zaś wewnętrzne prawem kontrastu stanowią pod względem gatunkowym materjał znacznie lżejszy i napisane są w nieskomplikowanych, prostych formach. Innemi słowy, zewnętrzne części są kwintesencją symfonji, jej "raison d'être" i decydują o całości.

Druga i trzecia część Symfonji Tansmana jest najlepszą, części zaś zewnętrzne odbiegają znacznie od charakteru symfonicznego, tak pod względem gatunkowym, jak formalnym i raczej należą do formy suity. Część pierwsza przypomina z wielu względów pierwszą część suity smyczkowej tego samego kompozytora "Triptyque", skomponowanej w 1930 roku, z którą całość symfonji ma wiele wspólnego, zarówno pod względem tematycznym, jak harmonicznym i rytmicznym. Lecz to, co było udane w wyżej wymienionej suicie, która nawiasem mówiąc, należy w mojej opinji do najlepszych utworów Tansmana, wydaje się nie na miejscu w symfonji. Ostatnia wymaga bowiem głębszej treści, dłuższego oddechu i poważniejszego rozbudowania. Część czwarta, ostatnia, powiązana z pierwszą tematycznie, choć bardziej przerobiona polifonicznie i zawierająca dość kunsztowne lecz sztucznie wprowadzone "stretto", również nie przemawia językiem symfonicznym i posiada raczej charakter finału ze suity.

Nieskomplikowana druga część Intermezzo o lirycznym nokturnowym nastroju, posiada według mnie znacznie większe walory muzyczne aniżeli wyżej wymienione części oraz zawiera szereg pięknych momentów pod względem inwencji i brzmienia. Trzecia zaś część, Scherzo, wydaje się najlepszą częścią Symfonji. Jest to synkopowany taniec o charakterze południowo-amerykańskim, pełen dzikiego dynamicznego napięcia, doskonale skomponowany i zinstrumentowany. Jako osobny numer orkiestrowy część ta mogłaby osiągnąć wielkie powodzenie i popularność, jednak Scherzo to nie łączy się zupełnie z innemi częściami symfonji i nie należy pod względem gatunkowym do formy symfonicznej.

Choć trudno jest sądzić o nowym utworze po jednem wykonaniu, wydaje mi się że Symfonja ta nie należy do udanych tego płodnego i wybitnego kompozytora.

Wiemy wszyscy jak wspaniale Rubinstein odtwarza Koncert f-moll Szopena. Tego wieczoru artysta był dobrze usposobiony i utwór w wykonaniu tak świetnej orkiestry i pod dyrekcją tak doskonałego dyrygenta polskiego wypadł znakomicie i porwał publiczność. Było to piękne zakończenie koncertu, który przyczynił się wielce do promieniowania muzyki polskiej w Nowym Yorku i zdobył zarówno sukces publiczny, jak i dobrą naogół prasę.

Wydaje mi się, że ten sukces powinien zachęcić dyrektora Rodzińskiego do wprowadzenia do repertuaru orkiestry również innych kompozytorów polskich, którzy dotychczas nie byli jeszcze wykonani przez Philharmonic-Symphony Orchestra. Mam na myśli z dawnych kompozytorów: Karłowicza, Paderewskiego i Różyckiego, ze współczesnych zaś przedewszystkiem tych, co znajdują się obecnie w Stanach Zjednoczonych: nestora kompozytorów polskich Zygmunta Stojowskiego oraz młodszych Jerzego Fitelberga, Michała Kondrackiego i Karola Rathausa. Wszyscy oni mają za sobą chlubną karjerę kompozytorską i kilkadziesiąt wykonań przez najlepsze orkiestry europejskie i amerykańskie. Chciałoby się również usłyszeć pod batutą Rodzińskiego muzykę kompozytorów, którzy znajdują się w obecnej chwili albo w kraju, albo w odciętej od nas Europie. Niestety posiadamy tu zaledwie kilka materjałów orkiestrowych, lecz wśród nich znajdują się utwory trzech naszych wybitnych kompozytorów: — Wiechowicza (Chmiel), Woytowicza (Poême Funèbre) i Palestra (Mała Uwertura).

GUSTAW KOTKOWSKI

TANCERZ POLSKI W BUENOS AIRES

"Taniec jest radosnym darem bogów a mazgajami są jego przeciwnicy"... (Platon).

Sukces z jakim spotkały się w ub. roku w Buenos Aires występy baletu płk. W. de Bazila sprawił, iż w sezonie obecnym teatru "Colon", będącym niewątpliwie najświetniejszym ośrodkiem sztuki muzycznej na południe od równika, uczyniono "fuzję" lokalnych sił tanecznych i choreograficznych z międzynarodowo-rosyjską trupą p. de Bazila. Eksperyment ten — mimo pewnych niedociągnięć udał się niewątpliwie.

Główne partje w wymienionych baletach tańczył Jerzy Szabeleski. Jest poniekąd "odkrywaniem Ameryki" mówienie czytelnikom o jego świetnej karjerze artystycznej. Ponieważ jednak "pointą" dzisiejszej korespondencji ma być kilka dygresji na temat możliwości stworzenia Baletu Polskiego w najbliższem pięcioleciu, przypomnijmy sobie choć pokrótce jego życie na scenie — zanim zastanowimy się, co Szabelewski dla baletu polskiego zrobić może i co uczyni niewątpliwie, jeśli odpowiedni ludzie zechcą mu przyjść z pomocą.

Szkoła baletowa Teatru Wielkiego w Warszawie, kilka lat studiów u Bronisławy Niżyńskiej w Paryżu, pierwsze sukcesy w baletach dyrygowanych przez Balanchina i Niżyńską — sukcesy niemałe, gdyż tańczy on partje solowe na scenach La Scali, Monte Carlo, Opera de Paris i Covent Garden — oto pierwsze kroki karjery Jurka Szabelewskiego.

W roku 1932 W. de Bazil angażuje młodziutkiego tancerza polskiego do "Balet Russe de Monte Carlo"... I oto rozpoczyna się 7 lat podróży: od Londynu pod Sydney i od Medjolanu po Vancouver. Pośród wielu kreacji dwie zyskują mu najwięcej sławy: rola "Snoba" w "La Boutique Fantastique" i „Niewolnika" w „Szecherezadzie".

„Kniaź Igor", „Petruszka", "Symfonja Fantastyczna" Berlioza, "Citillon" Chabriera, "The Gods go a Begging" (Haendel) — oto niektóre ze świetnych ról Szabelewskiego, oklaskiwanych w latach przedwojennych na scenach nieomal wszystkich stolic świata.

W roku 1940 publiczność nowojorska miała okazję widzieć na scenie "Balet Theatre" nietylko Szabelewskiego tancerza ale i Szabelewskiego choreografa w jego "Ode to Glory" skomponowanej do Poloneza Chopina As-Dur i symbolizującej bohaterstwo obrońców Warszawy.



Jerzy Szabeleski

Mimo, iż odtwórca "Szecherezady" stoi dziś u szczytów swych możliwości technicznych, prawdziwą pasją jego życia artystycznego stała się choreografja. Przed kilku miesiącami rozpoczął on pracę nad baletem "Triumf" do którego muzykę skomponował jeden z najwybitniejszych kompozytorów współczesnego pokolenia polskiego — Michał Kondracki. Balet ten pełen głębokiej treści ideowej, jest równocześnie par excellence sceniczny i stać się może arcyciekawą pozycją polskiej sztuki choreograficznej. O zrealizowaniu go wyłącznie siłami polskiemi — tudno jest dziś marzyć — ale Polskie Ministerstwo Informacji już dzisiaj powinno w swej "polityce powojennej" przewidzieć pokaźną subwencję dla "Triumfu" — tembardziej że.. tytuł baletu nie będzie pozbawiony aktualności!

Przed kilku dniami, na wieczorze zorganizowanym w salonach hotelu "Plaza" dla śmietanki Buenos Aires na rzecz polskich jeńców wojennych, Jerzy Szabelewski, obok numerów tańczonych z jedną z wybitniejszych artystek argentyńskich Mercedes Quintana, odtworzył skomponowaną specjalnie na ten cel kreację do melodii Poloneza Chopina C-Moll.

Nie widziałem "Ode to Glory"... Nie znam dokładnie koncepcji "Triumfu"... Sądząc jednak z tej tak pełnej treści a równocześnie prostoty kreacji Szabelewskiego — wydaje mi się, iż jego zdolności choreograficzne są niezwykłe. W polskiej sztuce tanecznej zadużo było krakowiaków i górali, zadużo pawich piór i nazbyt już oklepanych efektów polskiego patrjotycznego folkloru. Kompozycja Szabeleskiego poszła w zupełnie innym kierunku: młodzieniec przebrany w lekką kolczugę stalowej barwy (obraz siły woli i wytrwałego męstwa) przynosi wieść bliskiego już wyzwolenia... Plastyka pełna artystycznego umiaru i wyzbyta zbędnej ornamentyki — zapomina nawet o czysto tanecznych efektach i ma przedewszystkiem na celu oddanie idei wytrwania, wbrew wszystkiemu i naprzekór wszystkim przeciwnościom. I oto wyrasta napis, że "nie zginęła nadzieja" i że nadchodzi dzień wyzwolenia..

Z podniesionem czołem młodzieńczy wysłannik otuchy mówi nam: musimy wytrwać!

Słowa nie mogą oddać tej pełnej dramatycznego wyrazu kreacji — tak, jak nie można słowami opowiedzieć treści chopinowskiego Poloneza. Kreacja Szabelewskiego jest czemś więcej niż ilustracją choreograficzną i przypomina nam, iż prawdziwy taniec jest przedewszystkiem mistyką i poezją — a później dopiero ewolucją techniczną.

W ciągu ostatnich miesięcy spędziłem wiele chwil za kulisami teatru "Colon". Bawiło mnie obserwowanie współpracy, koleżeństwa i flirtu pomiędzy grupą rosyjską de Basil'a i artystami argentyńskimi.

Antynomia Północy i Południa — o której nieraz wspomina Tomasz Mann — w specyficznej atmosferze sceny baletowej — przypominającej co chwila nieporównane płótna Degas'a, stała się dla mnie źródłem niecodziennych przeżyć estetycznych.

Wśród trupy "Balet Russe" poza Szabelewskim (który w najbliższych dniach jedzie na gościnne występy do Rio de Janeiro) jednym z czołowych tancerzy jest również Polak — Roman Jasiński, rodem z Warszawy. Studjował on u Bronisławy Niżyńskiej w Paryżu i dzięki swym niezwykłym zdolnościom i pracowitości odtwarza z wielkiem powodzeniem kreacje tak trudne jak "Syn Marnotrawny" Prokofiewa i "Ikar" — według choreografji Lifara...

Polak, Marian Ladre, wyróżnia się przedewszystkiem jako świetny aktor mimiczny. Zdolny tancerz zespołowy Matuszak nie wyczerpuje listy tancerzy polskich w Buenos Aires, gdyż Mieczysław Borowski, pierwszy tancerz teatru "Colon" i od niedawna prowadzący swą własną szkołę taneczną, jest również jednym ze zdolniejszych adeptów polskiej sztuki choreograficznej.

25 LAT POLSKIEJ MARYNARKI WOJENNEJ

28 listopada 1918 roku w 17 dni po odzyskaniu niepodległości, ukazał się dekret, którego treść wyryta została kilkanaście lat później na głównej bramie Dowództwa Floty w Gdyni. Dekret brzmiał:

"Z dniem 28-go listopada 1918 roku rozkazuję utworzyć Marynarkę Polską." Józef Piłsudski.

Dekret ten stał się podstawą polskiego czynu morskiego. Ku zdziwieniu większości społeczeństwa znalazło się odrazu wielu marynarzy, którzy z flot wojennych państw zaborczych i z różnych krajów garnęli się pod ojczystą banderę. Nie było tylko okrętów, które powinny nam były przypaść w dziale właśnie jak spadek po marynarkach wojennych państw zaborczych. Że tak się nie stało, nie możemy specjalnie winić ówczesnych przedstawicieli Polski na Konferencji Pokojowej. Sprawy obrony morza były bowiem obce olbrzymiej większości narodu, i — szczerze mówiąc — mało kto w realizację ich wierzył.

Jednak już w roku 1919 polskie jednostki pływające walczą na rzece Wiśle. 10-go lutego 1920 roku Polska uzyskuje wreszcie niewielki dostęp do Bałtyku. Wydzielenie Gdańska sprawia, że prócz maleńkiego rybackiego portu w Pucku nie posiadamy żadnej podstawy dla naszej żeglugi. Sytuacja jest tak trudna, że kwestja stworzenia Marynarki Wojennej wydaje się utopią.

Równocześnie jednak Polska Marynarka Wojenna działająca na Pinie, Prypeci i Dnieprze okrywa się wiekopomną sławą. Tyle ofiarnego wysiłku rusza w końcu sprawę z martwego punktu. W walce o istnienie Polskiej Marynarki Wojennej zwycięża decyzja ówczesnego Ministra Spraw Wojskowych, a dziś Naczelnego Wodza, Generała Broni Kazimierza Sosnkowskiego, który wydaje rozporządzenie z dnia 3-go kwietnia 1922, tworzące Kierownictwo Marynarki Wojennej, jej bronie i służby.

Pierwszymi okrętami morskimi Polskiej Marynarki Wojennej są: uzbrojony holownik "Pomorzanin" — jako okręt hydrograficzny i zdobyty na Niemcach ścigacz "Myśliwy". W ślad za nimi 4 ex-niemieckie poławiacze min po 200 ton — "Mewa", "Jaskółka", "Czajka", „Rybitwa" raz dwie zbudowane w Finlandii kanonierki po 350 ton każda "Komendant Piłsudski" i "Generał Haller". Nieco później przybywają przyznane nam przez Radę Ambasadorów stare torpedowce niemieckie po 350-400 ton:—„Kaszub", "Mazur", "Kujawiak", "Krakowiak", "Ślązak", „Podhalanin". Do tego kilka statków pomocniczych. I to wszystko.

Jak wielki był pietyzm polskich marynarzy dla tych pierwszych okręcików polskich świadczy fakt, że niektóre z nich dotrwały aż do roku 1939 — ("Mazur" zginął walcząc z Niemcami) — choć miały wówczas 24 lat służby, to znaczy prekluzyjny wiek dla pancernika. Wyszkoliły one całe pokolenia polskich marynarzy, którzy potem, na nowoczesnych okrętach, wzbudzili podziw świata. Podziw tem większy, że przecież Polska nigdy państwem morskiem nie była, a Polacy — rzadko kiedy marynarzami.

Rozpoczęta w roku 1923 budowa portu w Gdyni pozwala w roku następnym na przeniesienie Dowództwa Floty z Pucka do Gdyni i Oksywia. Dotychczasowy Szef Kierownictwa Marynarki Wojennej, wice-admirał Porębski odchodzi w stan spoczynku, a na jego miejsce przychodzi dotychczasowy Dowódca Floty Komandor— dziś wice-admirał — Świrski. Dowódcą floty zostaje Komandor Unrug. Jeden i drugi nie zmienili przydziału, choć kontradmirał Unrug — obrońca Helu — jest w niewoli niemieckiej.

W r. 1926 dla potrzeb Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej zakupiony zostaje trzymasztowy szkunder "Iskra". Ten mały, pięćset-tonowy żaglowiec przebywa Atlantyk, pływa z Gdyni do zachodnich brzegów Morza Śródziemnego. Wychowuje pokolenie tych oficerów, którzy dziś na innych już "Kujawiakach", "Ślązakach" i "Piorunach" walczą za wolność Narodów.

Rok 1926 jest rokiem przełomowym. Mimo różnych sprzeciwów, trudności i niewiary w morską przyszłość Polski, w możliwość czynu na morzu, mimo okrojenia skromnego programu morskiego do epizodycznej budowy dwóch kontrtorpedowców i trzech okrętów podwodnych — Polska udziela wreszcie zamówienie na pierwsze swoje nowoczesne okręty wojenne. W cztery lata później mamy już kontrtorpedowiec: 'Wicher" i "Burza" po 1600 ton i podwodne stawiacze min "Wilk", "Ryś" i "Żbik" po 1000 ton. Rozpoczyna się budowę pierwszych okrętów wojennych w kraju — narazie małych poławiaczy min. Kolejno i powoli przybywają: „Jaskółka", "Czajka", "Rybitwa", "Mewa", "Żóraw" i "Czapla" — przyczem, ze starych okrętów tejże nazwy pozostaje tylko "Mewa" przechrzczona tradycyjnie na "Pomorzanina". Jako okręt hydrograficzny oddaje ona wielkie usługi nietylko Polskiej Marynarce Wojennej ale i żegludze międzynarodowej.

W latach 1937-38 przybywają wielkie nowoczesne kontrtorpedowce "Grom" i "Błyskawica" po 2050 ton



Na tem pustkowiu powstała Gdynia



Generał Kazimierz Sosnkowski, twórca Polskiej Marynarki Wojennej

— najsilniejsze w swej klasie na Bałtyku oraz stawiacz min "Gryf" 2250 ton. Ze składek społeczeństwa, zgromadzonych w Funduszu Obrony Morskiej, któremu przewodniczy Generał Sosnkowski, przybywa okręt podwodny "Orzeł". Drugi okręt podwodny tegoż typu — "Sęp" — 1175 ton — również najsilniejszy na Bałtyku, przybywa w roku 1939. Pozatem rozpoczęta została przed wojną budowa dwóch dalszych okrętów podwodnych we Francji, dwóch kontrtorpedowców w Polsce i czterech ścigaczy w Anglji.

W chwili wybuchu wojny Polska Marynarka Wojenna liczy więc: 4 kontrtorpedowce, stawiacz min, 5 okrętów podwodnych, 6 poławiaczy min, torpedowiec szkolny, okręt hydrograficzny, transportowiec, 8 holowników, żaglowiec szkolny, hulk "Bałtyk" (Szkoła Specjalistów Morskich) i kilka mniejszych jednostek. Flotylla na Pinie liczy 6 monitorów, dwie kanonierki i kilkanaście innych statków. Morski Dywizjon lotniczy około 20 samolotów. Bateria im. Laskowskiego na Helu — 4 działa 150 m/m. Istnieją zaczątki fortyfikacji, baterie brzegowe i przeciwlotnicze, acz słabo lub w stary sprzęt wyposażone. Rozbudowa własnej stoczni postąpiła o tyle naprzód, że można było zapoczątkować budowę kontrtorpedowców. Wielki dok pływający służy do naprawy okrętów.

Było to bardzo wiele jeśli wziąść pod uwagę trudności z jakiemi Polska Marynarka Wojenna ze wszech stron musiała się borykać. Ale bardzo mało w stosunku do tego, co było nam potrzebne. Jeśli mimo to Oksywie broniło się 19 dni a Hel 32, jeśli okręty nasze spełniły więcej niż mógł w tych warunkach nakazywać obowiązek — jest to niewątpliwie zasługą oficerów, podoficerów i marynarzy, ich niezłomnego ducha, szczerej miłości Ojczyzny, dużej wiedzy fachowej i sprawności bojowej.

3 kontrtorpedowce — "Burza", "Błyskawica", "Grom" przybyły do W. Brytanii w dniu 1 września, zgodnie z planem Kierownictwa Marynarki Wojennej, które, przewidując tragiczny wynik walk na wybrzeżu, rozumiało konieczność zachowania tych okrętów dla dalszych działań. Przybyły potem do Anglii jeszcze okręty podwodne "Wilk" i "Orzeł", przedarłszy się z Bałtyku i temsamem budząc podziw całego świata, 3 inne okręty podwodne — "Ryś", "Żbik", "Sęp"- internowane zostały w Szwecji, po wyczerpaniu swych możliwości operacyjnych. Był to zaczątek odrodzonej Polskiej Siły Zbrojnej, nietylko na morzu ale wogóle, boć tylko jedna Marynarka Wojenna ani na chwilę nie przerwała walki z wrogiem a jej okręty były jedyną częścią suwerennego terytorium Rzeczypospolitej.

W walkach na morzach i oceanach Polska Marynarka Wojenna straciła kontrtorpedowiec "Wicher", "Grom" "Kujawiak" (nowy) i "Orkan", stawiacz min "Gryf", okręty podwodne "Orzeł" i "Jastrząb". W chwili obecnej liczy ona: krążownik, 6 kontrtorpedowców, 3 okręty podwodne i 3 ścigacze.

Straty zadane przez Polską Marynarkę wrogowi nie mogą być jeszcze dokładnie określone. W przybliżeniu wynoszą one:

Zatopiono: 3-4 kontrtorpedowce, kilka okrętów podwodnych, 3 ścigacze, 2 patrolowce, kilka poławiaczy min, krążownik pomocniczy, ponad 20 transportowców i 7 barek desantowych.

Uszkodzono: pancernik, 2 kontrtorpedowce, kilka okrętów podwodnych, kilka ścigaczy, 7 transportowców. Ponadto zestrzelono około 100 samolotów.

Cyfry te mówią same za siebie.

OPINJE I ZDARZENIA

"TALES OF THE TATRAS"

Zdaje się, że nad piśmiennictwem polskiem w Ameryce zaczynają wschodzić dobre gwiazdy. Ledwie zdołaliśmy oswoić się z myślą, że powieść Zofji Kossak o św. Franciszku wybija się na czoło amerykańskiej produkcji książkowej jako Book-of-the-Month (ukaże się w marcu p. t. "Blessed Are the Meek") a już olśnił nas nowy sukces naszej literatury.

Wybór opowiadań tetmajerowskich ze "Skalnego Podhala", wydany w grudniu ub. r. jako "Tales of the Tatras", zyskał sobie niezwykle przychylną opinję krytyki i to w błyskawicznem, iście amerykańskiem tempie. O Tetmajerze pisali w New York Times: Orville Prescott i Nina Brown Baker, w N. Y. Herald Tribune: Levis Gannett i Virgilia Sapieha, w Sat. Revue of Literature: F. C. Weiskopf — wszyscy w tonie entuzjastycznym i wszyscy w ciągu pierwszych dziesięciu dni po ukazaniu się książki.

Wydawnictwu Roy in Exile, to znaczy pani i panu Kisterom, można szczerze powinszować. Dzięki ich pracy, wytrwałości i umiłowaniu zawodu wchodzi w świat amerykański książka polska, imię polskie i najlepszy wyraz polskiej twórczości. Cieszymy się z ich sukcesu, który jest jednocześnie sukcesem nas wszystkich.

CHOROMAŃSKI W STANACH ZJ.

Znany powieściopisarz, autor głośnej i tłumaczonej na wiele języków powieści p. t. "Zazdrość i medycyna", Michał Choromański, przybył z Brazylji do Stanów Zjednoczonych. Świetny pisarz przywiózł z sobą rękopis sztuki o Warszawie i powieść p. t. "Szpital Czerwonego Krzyża". Choromański zamierza osiedlić się w Kanadzie.



Do Stanów Zjednoczonych przybył ostatnio jeden z najznakomitszych pianistów polskich młodego pokolenia, poprzedzony entuzjastycznemi głosami krytyki południowo-amerykańskiej. Zdjęcie przedstawia Małcużyńskiego na tle orkiestry i audytorium największej sali koncertowej Buenos-Aires, teatru "Colon".

Z NOWYCH KSIĄŻEK

Ostatnią sensacją wydawniczą z działu "non-fiction" jest książka Salvadora de Madagiara "Spain", dzieje i analiza hiszpańskiej wojny domowej. Jest to już drugie z kolei opracowanie tego tematu (po książce Geralda Brenana "Spanish Labyrinth"), w mistrzowski sposób odsłaniającego międzynarodowe kulisy wewnętrznego pozornie konfliktu, który cztery piąte półwyspu pirenejskiego zamienił na ruiny i zgliszcza dzięki "przyjacielskiej interwencji" Niemiec, Włoch i Z. S. S. R.

"Mały pułkownik" Carlos P. Romulo, Filipińczyk, autor znakomitego reportażu "I Saw the Fall of the Philippines" wystąpił z drugą książką "Mother America", która zyskała sobie w amerykańskiej prasie literackiej wysokie uznanie.

Słynny bridżysta Ely Culbertson, który niejednokrotnie na łamach poważnej prasy politycznej występował z projektami ustrojowymi powojennego świata, wywołując niemi długotrwałe dyskusje w kołach fachowych — wydał swoje myśli w formie książkowej. "Total Peace", nowa książka Culbertsona cieszy się niespodziewanie pozytywnemi recenzjami w prasie amerykańskiej.

Joseph L. French wydał ciekawą antologję opowieści morskich, p. t. "Great Sea Stories", w której znajdują się najcelniejsze nowele i fragmenty powieści Coopera, Londona, Kingsley'a Stevensona, Merimee'go, Lotiego i Victora Hugo. Niema niestety wśród nich ani jednego opowiadania Conrada-Korzeniowskiego, co w bardzo ostry sposób wytknęła wydawcy cała bez wyjątku prasa amerykańska.

Marta Ostenso wystąpiła z nową powieścią "O River, Remember" a John Erskine z cyklem essay'ów "The Complete Life". Z nową powieścią "Come Soon, Tomorrow" wystąpiła również znana śpiewaczka amerykańska Gladys Swarthout.

W POPRZEDNIM (52-gim) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Do Czytelników; Józef Wittlin: Tadeusz Kościuszko; Władysław Broniewski: Tułacza Armja; Kazimierz Wierzyński: Nieznani żołnierze; Antoni Cwojdziski: Święta noc; Zofja Bogdanowiczowa: Kabała, Matka Boska Ostrobramska; Irena Lorentowicz: Choinka; Witold Sworakowski: Granice Polski w Wersalu; Stanisław Strzetelski: Organizacja pokoju; Opinje i zdarzenia.

SYLWETKI POLSKICH LOTNIKÓW: GÓRAL

Kapitan K. pochodzi z rodziny góralskiej spod Nowego Sącza, stąd przezwisko "Góral". Gdy w Polsce przyszedł do pułku, znany był jako dobry kolega i doskonały kompan. Był zawsze pierwszym do zabaw i nieoceniony w towarzystwie. Miał dobrą opinję u przełożonych ale niczem specjalnie nie wyróżniał się w lotnictwie.

Po kampanji wrześniowej przedostaje się do Francji, później do Anglji. Tu otrzymuje przydział do dywizjonu bombowego. Z początku lata, jak każdy. Nie należy do ludzi, którzy rzucają się odrazu w oczy lub którzy błysną jednym tylko czynem i gasną. Góral był skromny, szczery i obowiązkowy. Takie zalety ocenia się dopiero po pewnym czasie.

Właśnie po pewnym czasie okazało się, że Góral lata dużo i dobrze, że zna się na rzeczy; na meteorologji, na reflektorach i baterjach nieprzyjacielskich; że umie omijać niebezpieczeństwa; że dobrze naprowadza samolot nad cel i że jego nawigator przynosi zawsze doskonałe zdjęcia.

Tak powoli rosło uznanie dla Górala. Zdobywał je ciężką pracą. Awansowano go do stopnia dowódcy eskadry a potem dywizjonu. Tu dopiero zabłysły wartości Górala jako dowódcy. Był nietylko przewodnikiem dywizjonu. Stał się jego duchem i natchnieniem. Znając dawniej tego wesołego chłopca, trudno byo przewidzieć, że stanie się on takim dowódcą. Niektórzy wypominali mu to żartem: 'Co z ciebie wyrosło?! W pułku byłeś łajza".

Góral uśmiecha się. — 'To nic dziwnego" — mówił. — "Wyobraź sobie, że jesteś na wycieczce narciarskiej i idziesz na samym końcu. Odstajesz, doganiasz, inni muszą czekać na ciebie. Jesteś łajza. Ale niech ci pozwolą prowadzić... Wtedy — choćby śnieg był po kolana, ty torujesz w nim drogę. Będziesz mokry od potu i musisz baczyć na najgorsze łajzy w tyle ale starasz się. Chcesz prowadzić jak najlepiej".

Taki był Góral. Torował drogę innym i baczył na każdego żołnierza swego dywizjonu.

Jak wiadomo istnieje pewna granica lotów operacyjnych, po której każdy pilot odchodzi na odpoczynek. Góral doszedł do tej granicy w doskonałej formie; został mu do wykonania jeszcze tylko jeden lot.

Dywizjon w tym czasie polecial na bombardowanie celów we Francji. Góral nie wziął udziału w tej wyprawie. Przyszedł nalot na Emden. Góral pozostał na lotnisku. — Dlaczego nie odwalasz tego ostatniego lotu? — zapytano go nazajutrz.

Zmarszczył brwi i po chwili powiedział: "Myślisz, że polecę na Francję? Na Emden? Ja, dowódca dywizjonu, który ma zrobić ostatni lot? Mógłby mi potem ktoś zarzucić, że tylko czekałem na okazję łatwej wyprawy, żeby skończyć turę".

— Pleciesz głupstwa — powiedziałem. Dobrze wiesz, że nikt o tobie tego nie powie.

— Może nie powie ale pomyśli. A zresztą, nawet gdyby nie pomyślał to i tak nie polecę na moją ostatnią wyprawę tam, dokąd posyła się świeżo opierzonych politów. Nie, bracie, jestem dowódcą i pamiętam, że wszyscy na mnie patrzą. Już ja wybiorę taką wyprawę, żeby nikt nie powiedział, że ułatwiam sobie życie.

Góral wykonał to postanowienie. Wybrał sobie jeden z najbardziej trudnych i bronionych celów na swój ostatni lot operacyjny, po którym miał pójść na zasłużony odpoczynek. Niestety został nad tym celem zestrzelony. Jest teraz w niewoli niemieckiej. — S. Ł.

CZY WIECIE, ŻE...

...dla upamiętnienia czwartej rocznicy wspólnych bojów Royal Navy z Polską Marynarką Wojenną — wice-admirał Świrski wręczył Pierwszemu Lordowi Admiralicji Alexandrowi i premierowi Churchillowi srebrne plakiety pamiątkowe, wykonane przez polskiego oficera. Plakiety przedstawiają trzy polskie kontrtorpedowce, płynące ku brytyjskiemu okrętowi wojennemu w dniu 1 września 1939 roku. Kontrtorpedowcami są "Grom", który zatopiony został pod Narwikiem oraz "Błyskawica" i "Burza", pełniące nadal zaszczytną służbę na morzach.

AUTENTYCZNE

Djalog w urzędzie naturalizacyjnym Stanów Zjednoczonych w r. 1943. Sędzia zadaje przepisowe pytania, na które aplikant musi odpowiedzieć bez błędu:

— Kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych?

— Franklin Delano Roosevelt.

— A wice-prezydentem?

— Henry Wallace.

— Czy Pan mógłby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Pan sędzia wybaczy — ale jestem cały dzień zajęty i nie mam ani chwili czasu. Weźcie kogo innego.

TABLICE PAMIĄTKOWE W SZKOCJI — WIECZYSTYM DOWODEM PRZYJAŹNI POLSKO-SZKOCKIEJ

W końcowych dniach czerwca 1940 r., w następstwie francuskiej katastrofy — żołnierz polski znalazł się na brytyjskiej ziemi w gościnnej Szkocji.

Wojsko, które przeżyło dwie klęski a które jaknajgłębiej jest świadome ogromu niedoli, będącej udziałem narodu w najechanym Kraju — raz jeszcze dokonało reorganizacji.

Dziś, kiedy przeminęły trzy lata i skoro z oddali świta nam zorza wolności — należałoby poczynić przygotowania do bilansu tego, co może pozostać na trwałe po nas w Szkocji.

Mamy w Szkocji przyjaciół, których zjednaliśmy sobie wprawdzie w czasie wojny ale którzy i na lata powojenne utrzymają napewno zadzierzgnięte z nami stosunki.

Ziemia szkocka pokryła się siecią ożywionych energją i pożytecznie działających oddziałów Towarzystwa Szkocko-Polskiego. Z inicjatywy raczej żołnierskiej — poszły w kurs między Szkotów książki o Polsce po angielsku. Stosunkowo największa jak na naszą liczebność w terenie ilość najprostszych souvenirów z orzełkiem na tarczy o barwach narodowych — już pozostanie na zawsze własnością szkockich przyjaciół.

Najciekawsze i może najtrwalsze pamiątki — zostawiają Polacy na murach miast szkockich, zwłaszcza w godnych rzeczywistego upamiętnienia momentach, gdy normalnym tokiem żołnierskiej służby tu i ówdzie dokonano zmiany miejsc postoju oddziałów.

Tablic prostych, bezpretensjonalnych a jednak trwałych i pieczętujących w pewnym sensie okres pobytu żołnierzy polskich w Szkocji — mamy już bezmała tuzin.

Wiele uczynnej pomocy okazują przy każdej sposobności fundowania takiej tablicy oddziały Towarzystwa Szkocko-Polskiego. Wypada stwierdzić, że owe tablice stają się wynikiem najrzetelniejszej współpracy obu narodów. Narodu szkockiego — gospodarza i polskiego — wojennego gościa w osobach żołnierzy Rzeczypospolitej.

Mniej lub więcej okazałe monumenciki, zawierają zawsze znak narodowy Polski: orła, stosowany zwięzły napis, dane, określające terminy lokalnej polskiej gościny a ponadto obowiązkowo parę wdzięcznych słów za "hospitality and good will".

Fakt odsłaniania tablicy stawał się w uhonorowanej takim nabytkiem miejscowości — pewnego rodzaju świętem, gromadzącem zarówno rzesze miejscowej ludności szkockiej, jak i — co najmniej — delegacje Polaków.

Pierwszą chronologicznie tablicą stał się dar dla miasta Forfar. Działo się to jeszcze w roku 1941.

Do miesiąca czerwca 1943 roku pojawiło się takich pomniczków pobytu Polaków w Szkocji około dwunastu. Oznaczałoby to jedną tablicę na kwartał.

Są wśród nich tablice mniej lub więcej okazałe.

Najokazalszą, winno się to szczególnie podkreślić, stała się mozajka — dzieło trzech polskich plastyków — żołnierzy, jaka ozdobiła ścianę Town-Hall starego miasta uniwersyteckiego St. Andrews.

Ostatnią z dotąd odsłoniętych tablic jest tablica na Town Hall wielkiego portowego, przemysłowego miasta Dundee.

Tablicę w Dundee odsłonił osobiście Minister Obrony Narodowej, gen. dr. Marian Kukiel.

Każda bez wyjątku z tych dwunastu tablic jest wykutym w kamieniu czy bronzie śladem pobytu polskich żołnierzy na szkockiem miejscu postoju i niewątpliwie dla potomnych będzie dokumentarnym stwierdzeniem pobytu cząstki Polski Walczącej na obszarze tak gościnnej ziemi szkockiej.

Prosimy naszych czytelników o rozpowszechnianie "Tygodnika Polskiego" i jednanie nam nowych prenumeratorów.

SPASIBO, TOWARISZCZU.





W Meksyku ktoś stale kolenduje o Polsce. Raz na jedną nutę, innym razem na inną. Teraz znów zanucił o nas po swojemu. Ukazały się tam pocztówki świąteczne o motywach polskich, żałosne w wyglądzie, jak to czytelnicy sami mogą osądzić z zamieszczonych podobizn, ale wyraźne i niewątpliwe jako tendencja.

HUMOR TRISTANA BERNARDA

Znany, dziś już bardzo stary komedjopisarz francuski Tristan Bernard, jest najdowcipniejszym człowiekiem w swoim kraju. Kiedyś pytano go, co sądzi o stanie literatury francuskiej. "Cóż chcecie" odpowiedział Tristan Bernard: "Wolter umarł, Pascal umarł, Victor Hugo umarł, Balzac umarł, a ja też czuję się nieświetnie."

Z PRASY ANGIELSKIEJ

"Urzędnik magistratu w Bath tak silnie ziewnął podczas pracy, że zwichnął sobie szczękę. Odwożący go do szpitala taksówkarz zasnął przy kierownicy i auto uderzyło o słup telegraficzny. Od wstrząsu szczęka urzędnika wskoczyła na właściwe miejsce. Szofer obudził się i odwiózł pracowitego urzędnika z powrotem do biura".

Si non e vero e ben trovato.

POLISH WEEKLY
Editorial Office:
806 Lexington Avenue
New York City, 21
Tel. REgent 7-4168

Publishers:
Association of Writers from Poland

Editors:
ZENON KOSIDOWSKI
JAN LECHOŃ
JERZY TEPA
KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly—$3.50 Yearly—$7.00